

Warszawa dnia 18/30 Stycznia 1867 roku.

Nr 5. Cena w Warszawie **20** kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych **75** kop. kwartalnie. **Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715.** Rok III.

KSIĄDZ FABJAN BIRKOWSKI.

Ksiądz Fabian Birkowski, jako jeden z najsławniejszych kaznodziei polskich, godny wielkiego doznał jéj także Birkowski. W bardzo młodym wieku ujrzał się w opłakanym stanie sieroctwa, utraciwszy ojca i matkę. Wprawdzie znalazł się stryj dobry, który objął nad nim opiekę i z ojcowską



Portret Józefa Gluzińskiego, robiony na parę tygodni przed jego śmiercią.—(Rysował Kozarski—wycięto w drzeworytni Minhejmera). Czytać życiorys pomieszczony w Nr. 40-ym Opiekuna Domowego z 1866 roku.

Skargi następca, zarówno świątobliwy jak uczony, filozofii wierszopis, był rodem ze Lwowa. Jakby konieczne gorzka dola miała być udziałem tych, którym Opatrzność wyższe wyznaczyła posłannictwo, troskliwością czuwał nad jego losem, a nawet ujrzawszy w młodziuchnym Fabjanie ochotę i rzadkie do nauk zdolności, wysłał go własnym kosztem do akademji Krakowskiéj i zapewnił bratańcowi

utrzymanie, ułatwiając mu tym sposobem możność nabycia nauki; ale ten rzadkiéj poczciwości stryj umarł wkrótce, nim jeszcze Fabjan w jakimkolwiek przedmiocie wykształcić się zdołał, a z śmiercią stryja skończyło się wszystko. Bez opieki, bez pieniędzy, Birkowski nie mógł dłużéj pozostać w Krakowie; opuścił więc szkoły i powrócił do Lwowa, zmuszony nieszczęśliwemi okolicznościami wyrzec się słodkiéj myśli zostania kiedyś uczonym i na polu nauki użytecznym swoim współziomkom.

Ale fortuna toczy się kołem, a pomoc przychodzi częstokroć wtedy, gdy się jéj najmniéj spodziewamy. Kiedy Birkowski siedząc we Lwowie, może już stracił nadzieję że będzie mógł powrócić do Krakowa, zdarzyło się a było to w Listopadzie 1582 r. że przez Lwów przejeżdżał Jan Zamojski, hetman wielki Koronny, sam uczony i troskliwy uczących się opiekun. Pewnéj niedzieli hetman udał się na summę do kościoła OO. Dominikanów. Niezliczona moc ludu pobożnego zebrała się w Kościele, tak że świątynia była przepełniona w całém tego słowa znaczeniu i gdy hetman z orszakiem swoim ukazał się na progu, to już prawie nie było miejsca dla niego. Ale znalazło się wkrótce. Lud rozstąpił się z uszanowaniem na jednę i drugą stronę i powstała wolna ścieszka aż ku wielkiemu ołtarzowi, którą też Jan Zamojski dostał się do piewszéj ławki i usiadł tuż pod kazalnicą. Nabożeństwo odprawiało się z całą uroczystością, a skoro odśpiewano ewangelję, Ksiądz Melchior Mościcki Dominikan, sławny podówczas kaznodzieja wstąpił na ambonę i zaczął głosić słowo Boże. Mościcki piękną miał wymowę, toż nie dziw, że wszyscy obecni z należną słuchali go uwagą, a w Kościele była cisza jakby mak siał. I hetmanowi podobało się kazanie, więc też pilnie baczył na słowa mówcy, aliści gdy jednego razu rzucił okiem pomiędzy ludzi otaczających ambonę, postrzegł tam młodzieńca co zjeszcze wieksza jak on uwagą chwytał słowa kazania, albowiem nietylko je w pamięci jak wszyscy inni, ale oraz ołówkiem na papierze zapisywał. Uderzyła Zamojskiégo pilność tego skromnie stojącego młodzieńca i tém bardziéj mu się podobała, gdy obok niego ujrzał jeszcze drugiego, który czynił podobnie. Obadwaj stali po za tłumem ukryci i z wielka pilnością notowali kazanie, a widocznie nie czynili tego w chęci zwrócenia na siebie uwagi ogółu, bo nie byliby się kryli. Zamojski rad był dowiedzieć się co za jedni byli ci młodzieńcy, jakiemu oddawali się zawodowi i z jakich pobudek notowali tak pilnie słowa księdza Mościckiego, więc ich już z oka nie spuszczał. Skończyło się nabożeństlwo a nikt nie wychodził z kościoła, bo hetmanowi zostawiano pierwszeństwo. Zamojski ruszywszy wraz z swoim orszakiem ku drzwiom, szepnął jednemu z dworzan, aby odszukał owych dwóch młodzieńców i przyzwał ich do niego, co się też i stało. Domyślili się oczywiście, że mimowolnie ściągnęli na siebie uwagę hetmana, ale nie przewidywali jakie im tenże dobrodziejstwo wyświadczyć zamierza. Bądź co bądź, stawili się obadwaj na wezwanie Zamojskiego. Pierwszy, którego rysy twarzy zdradzały na pierwszy rzut oka pochodzenie wschodnie, był to żyd, ale od niejakiego czasu noszący się z myślą zostania chrześcianinem; drugim był Fabjan Birkowski. Jan Zamojski, choć to był pan tak wielki i bogaty, więc też i przedstawionych mu młodzieńców, których zapamiętał dobrze i poznał od razu, przyjął bardzo łaskawie, z uśmiechem dobroci na ustach. Żyd wprawdzie nieśmiało zbliżył się przed oblicze hetmana, ale wnet ochłonął spotkawszy jego łagodne i dobrotliwe wejrzenie; Birkowski zachował nieprzesadzoną skromność, która tak zdobi młodzieńca i spokojnie oczekiwał rozkazu czy tłumaczenia. Hetman uprzejmie do obudwóch zagadał, czem też od razu zjednał sobie ich serca. Wypytywał ich o stosunki rodzinne, o sposób życia i zamiary na przyszłość, a skoro się dowiedział że obadwaj byli w przykrém położeniu i dla braku funduszów nie mogli odbywać nauk, czego najmocniéj pragnęli, żałował ich szczerze i zaraz powziął myśl zająć się ich losem. Kazał sobie pokazać owe kartki na których spisywali w kościele kazanie księdza Mościckiego, obejrzał je i odczytał z uwagą i poznał, że obadwaj mają talent niepospolity i właściwe niektórym poczucie do chwytania zasłyszanych myśli piękniejszych.

— Jednako z naszym Mościckim, rzekł do otaczających go dworzan i panów, będą może obadwa kiedyś duchowieństwa polskiego ozdobą i wiary prawdziwéj podporą. Zaręczam Waszmościom, nie będą te role chwastu rodziły, kiedy w nich ziarno słowa Bożego tak łatwo się przyjmuje.

Obudwu młodzieńców Zamojski wysłał na swój koszt do głównéj szkoły Krakowskiéj i opiekował się nimi z największą troskliwością. Oni też nie zawiedli jego oczekiwania, lecz z największą pilnością przykładali się do nauk. Towarzysz Birkowskiego, młody żyd z Lubomli, zkąd też i przybrał nazwisko, Seweryn Lubomlczyk, przyjął chrzest święty i matkę swoją skłonił, że w późnéj starości wyrzekła się błędów swojéj wiary, zasłynął nauką i bystrością umysłu i był wielokrotnie używany do usług publicznych, w końcu zaś w dojrzałym już wieku wstąpił do zakonu OO. Dominikanów i został księdzem. Birkowski uczył się bardzo dobrze i tym sposobem wywdzięczył się swemu dobroczyńcy, który nie mało także łask świadczył jego starszemu bratu. Postępował szybko w naukach i w bardzo młodym wieku uzyskał stopień magistra filozofji. Był potem przez lat kilka professorem filozofji i wymowy w akademji, a zarazem prefektem bursy Krakowskiéj, co nie małym było zaszczytem. Nareszcie wyrzekłszy się dostojeństw świeckich jakich przy swoich znakomitych zdolnościach mógł się był spodziewać, przywdział ubogie szaty zakonne u OO. Dominikanów w Krakowie, wyświęcony na kapłana w roku 1592 a 28 swego życia.

Został zaraz kaznodzieją u Ś. Trójcy tudzież przy Kościele kollegiackim N. M. Panny. Mianowany professorem a nawet rektorem seminarjum dominikańskiego, wykładał naukę teologji. Zasłynął wymową kaznodziejską i przez lat czternaście był najpierwszym w Krakowie kaznodzieją. Wtym czasie jeździł także do Rzymu, gdzie będąc biegłym w wszelkich naukach tak świeckich jak kościelnych, z łatwością uzyskał stopień doktora świętéj teologji.

Wkrótce sława jego wymowy rozeszła się po całym kraju. Gdy król Zygmunt III przeniósł stolicę królestwa do Warszawy, OO. Domikanie krakowscy wysłali tamże Birkowskiego, gdzie podobnież kaznodzieją obrany, wkrótce zasłynął podobnie jak w Krakowie i zwłaszcza podczas panującéj podówczas w Warszawie zarazy morowéj, wzruszał słuchaczy swoją zniewalającą wymową, umacniał wąt-

piących, a do serc skołatanych nieszczęściem wlewał chrześcijańską pociechę.

Było to w tym czasie gdy sędziwy kaznodzieja królewski Skarga, przygnieciony starością i długoletnią pracą, pragnął usunąć się od dworu i w zaciszy zakonnéj przepędzić resztę żywota. Król Zygmunt poznawszy bliżéj Birkowskiego, jego wielkie zalety i cnoty, rozum i naukę którą celował ponad innych swoich braci zakonnych, przyzwał go do dworu i poruczył mu syna swego Władysława, prosząc, aby chciał być przybocznym kaznodzieją młodego królewicza i jego przewodnikiem. Odtąd Birkowski przez długi czas nie odstępował królewicza i towarzyszył mu nawet w wyprawach wojennych, daleko po zagranicami kraju i na polach bitew nieraz z narażeniem własnego życia pełnił obowiązki kapłańskie, znosząc ochoczo niewygody i trudy, zarówno wylany dla wodzów jak i dla prostych żołnierzy. Gdy Skarga porzucił ziemskie mieszkanie, przenosząc się do lepszego świata, jeden Birkowski w całéj Polsce znalazł się godnym mówić na jego pogrzebie i uczcił jego pamięć mową tak piękną, z takiem wygłoszoną namaszczeniem, iż zdało się słuchaczom, że na niego zstąpił duch wielkiego krasomówcy; jakoż odtąd Birkowski był pierwszym i najsławniejszym w całéj Polsce kaznodzieją.

Władysław zostawszy królem, zachował dla Birkowskiego miłość i szacunek i nie puścił go od siebie, lecz kaznodzieją królewskim mianował. Urząd ten zaszczytny pełnił Birkowski do późnéj starości z niezmordowaną gorliwością, nieszczędząc chwalebnéj pracy i trudów, aby godnie odpowiedzieć swemu powołaniu. Dopiero na dwa lata przed śmiercią opuścił dwór królewski i powrócił do Krakowa do celi zakonnéj, gdzie obrany przeorem, piastował tę godność do końca życia. Król Władysław pisywał do niego i zasięgał rady czcigodnego zakonnika.

Nie do nas należy oceniać dzieła tego wielkiego kaznodziei. Gdy jednak poprzednio pisaliśmy o Skardze i dziełach jego, a teraz do téj saméj wysokości podnosimy zasługi Birkowskiego, cięży na nas obowiązek porównania z sobą dwóch tych tak znakomitych mężów. Nie można zaprzeczyć, że Skarga jako dobroczyńca ludzkości większe jak Birkowski położył zasługi, co do uczoności jednak zgadzają się wszyscy, że Birkowski posiadał więcéj nauki jak Skarga; jakoż w dziełach jego obok naturalności i prostoty, napotykamy wiele głębokich myśli znamionujących filozofa. Bądź co bądź, to zdaniem naszem o tych dwóch wielkich mężach powiedzieć można, że dzieła ich uzupełniają się nawzajem, tak: że co niedostaje Skardze, to znajdziesz w Birkowskim, a czego nie ma Birkowski, tem Skarga celuje. Birkowski mówił „językiem swoim zwyczajnym, zawsze chędogim i polerowanym, bez afektacji i trudności.” „Jako morze szklanne i rzeka czysta, płynęły mu te perełki wyborne.” A język ten jego, ta najczystsza, najpiękniejsza polszczyzna, wyrażenia jędrne i dosadne, wysłowienia gładkie i potoczyste. W mowach swoich przygodnych wysławiał wielkie i cnotliwe czyny i innym do naśladowania podawał. Sławne zdarzenia krajowe, jak np. wyprawę turecką na któréj znajdował się osobiście i zwycięztwa nad Osmanem odniesione, wystawiał świetnie. Żałobnych mów także wiele po nim zostało. Prócz znakomitéj mowy na pogrzebie Skargi, uczcił w podobny sposób zasługi Jana Zamojskiego swego niegdyś opiekuna i dobrodzieja, Karola Chodkiewicza i innych sławnych mężów. Największą wartosć mają jego kazania na niedziele i święta całego roku. Tak był znany wszędzie, iż jak to rzekł Kochanowski w kazaniu, które miał na pogrzebie Birkowskiego „nie było w Polsce kościoła, gdzieby nie stał na pulpicie Fabjan i jego postylla.” Jeden ze współczesnych powiada o nim: „Ojca Fabjana słychać było po całéj Polsce, i dotąd jeszcze nie umilkł.” Zdumiewali się współcześni, że mógł tak wielkim pracom wydołać i że sił i czasu mu starczyło: „Cud i to uważania godny, powiada o nim wyżéj przytoczony pisarz, gdy ten ojciec tak wiele czytał, pisał, do druku polskim i łacińskim językiem podawał, jako mu na to zdrowia, piersi i czasu starczyło, przy kaznodziejskich ustawicznych pracach.” Niezmiernie pracowity niezmierną moc kazań napisał. „Pytajcie typografów, mówi ks. Makowski, wiele tego przez ich ręce przeszło? a co skrzyniami kazań już gotowych leży, idź a obacz i zdumiewaj się, albowiem kazania coraz to insze z pracą gotował.” Powiadają o nim, że w klasztorze rzadko go było widzieć za celą, a w celi prawie nigdy bez książki. O dziewiątéj szedł spać, o północy na jutrznię wstawał. Przeczytawszy co z pisma św. znowu się kładł. Jak na godziny przedzwoniono, zaraz z łóżka się zrywał. Mszę rano odprawiał, resztę dnia dzieląc między nabożeństwem a nauką. Gardził bogactwy ziemskiemi jednając sobie skarb w Niebie i nie przyjmował żadnéj zapłaty za swoje prace, a tak choć mu łatwo było zbogacić się bo zewsząd płynęły pieniądze, pozostał ubogim jak na wiernego sługę Chrystusa i zakonnika przystało. Nawet po starszym bracie swoim nie przyjął spadku. Umarł 9 Grudnia 1636 r. przeżywszy lat przeszło siedmdziesiąt, kapłańskiego zawodu czterdzieści cztery. *Stanisław Nowiński.*

ZASTAW.

Jeszcze go na przednówku nie dojadła biéda,
Lecz siadł Marcin na progu przed chatą i duma:
„Chciałby się człek sam napić, poczęstować kuma,
„Nie ma za co!.. ha! kożuch zastawię u żyda!
„Dziś już świętego Wojciecha,
„I słonko dobrze grzeje i w polu pociecha!”
Wdział sukman i z kożuchem
Do pachciarza rusza duchem:
„Jankiel, zmiłujcie no się, pożyczcie talara”.
— „Talara—rzecze Jankiel—kożuszyna stara,
„Lecz wiem że u was nie zginie,
„Więc dam talara Marcinie,
„Ino mi z pierwszych snopków nowotnego żyta
„Dwa talary oddacie z procentem—i kwita”.
Stanęła zgoda, talar u Marcina,
A kożuch został u żyda;
Marcin już myśli sobie jak talara wyda,
A Jankiel tak znów zaczyna:
„Wiecie Marcinie, rozłóżmy na raty,
„Dla tym łatwiejszéj wypłaty,
„Oto zaraz talara dajcie na rachunek,
„A potém kiedy, niedługo,
„Zapłacicie ratę drugą,
„I cały sobie z głowy spędzicie frasunek”...
Oddał Marcin talara, powraca i duma:
„Miałem się i sam napić i zaprosić kuma,
„I znowu nie mam za co, a tym większa biéda,
„Żem i winien talara i kożuch u żyda!..
„Oto na równéj drodze dałem mu się złupić!..
„Ale... Jankiel ma rację... lżéj będzie wykupić”!

O! bodajby mógł każdy tę myśl w siebie wszczepić,
Że lepiéj dać się okpić, niż grosz ciężki przepić.
Wołody Skiba.

DWÓCH MŁODZIEŃCÓW,

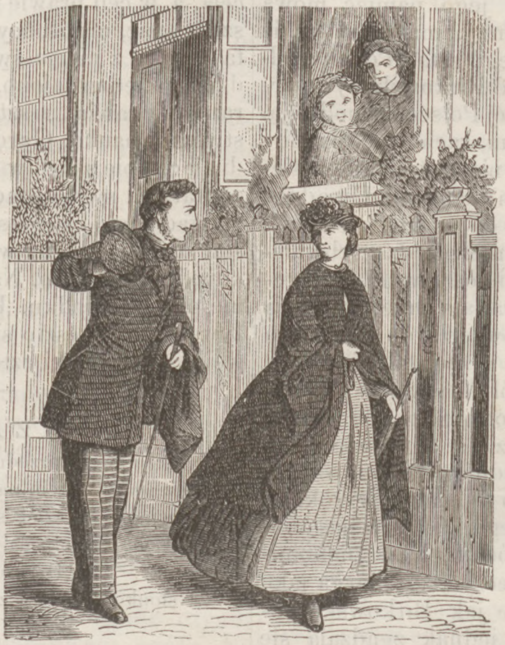
powiastka z małego miasteczka

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

I.

Godzina była poobiednia. Na ulicach miasteczka niewiele krzątało się ludzi, bo znać każdy swoją był zajęty pracą i obowiązkiem. W tém od pięknego domostwa, żółtą jaśniejącego barwą, przy dachu czerwonym; otoczonego sztachetami pomalowanemi zielono, po za któremi wyzierały drzewa i kwiaty, ukazał się młody mężczyzna, przystojny, miny butnéj, a raczéj niby zawadjackiéj. Wisiał na nim nowiutki paletot brązowy —z którego kieszeni wychylał się koniec żółtego fularu, jakby nie umyślnie pokazany—a może i umyślnie; na nogach świeciły lakierki, głowę pokrywał popielaty, wysoki kapelusz; na ręku jasne miał rękawiczki, w oku szkiełko niebieskie— machał pozłacaną laseczką i zadzierał nosa. Tym elegantem, tym *lwem* miasteczka, był pan Wawrzyniec Pękosza, po rodzicach pracowitych, dziedzic żyznych łanów, pięknych zabudowań i wszelkiego dobytku. Pan Wawrzyniec korzystał też o ile mógł z téj błogosławionéj puścizny i używał dostatków swoich i lat młodych.



Porwał kapelusz z głowy i pokłonił się zamaszyście.— (str. 36, szp. 2).

Gdy pan Wawrzyniec skręcił w ulicę do rynku wiodącą, nadchodził właśnie w szybkim biegu, znać pilno mu było — drugi młodzian również przystojny, schludnie i starannie ubrany, lecz nie tak modnie i po *dandysowsku* jak tamten. Spojrzeli na siebie z pod czoła, niby pokłonili się sobie z niechęcią — pierwszy poważnie szedł daléj, a drugi szybko w boczną skręcił uliczkę. Pan Pękosza, gdy tamten go minął, obejrzał się za nim, zmierzył go z góry pogardliwie, przystanął chwileczkę, a potém wywijając laską i gwiżdżąc jakąś *szenekatrynkową* poleczkę, zwolna szedł w rynek do cukierni pana Telesfora Makarego.

Drugi młodzian był stolarzem tylko — jakżeż więc pan Pękosza nie miał z góry na niego spoglądać? — Młody stolarz, Kajetan Wierzbowski, ukończył wprawdzie pięć klas gimnazjalnych: uczył się stolarki u pierwszych mistrzów w Warszawie; był i rok jeden za granicą. Od półtora roku powróciwszy do staréj matki, założył w miasteczku warsztat i zasłynął wzorowém wykonaniem wyrobów stolarskich, prowadzeniem się przykładném i sumiennością. Miał powszechnie dobre imię; a proboszcz — jeden z najzacniejszych kapłanów, cenił go i towarzystwo jego lubił, zapraszał go często do siebie i wiele okazywał mu przyjaźni. To wszystko wszelako nie dodawało mu zalet w oczach pana Wawrzyńca, bo Kajetan Wierzbowski był tylko rzemieślnikiem, a on przecież niby téż-to paniczem!

Po kilku chwilach młody Pękosza, nie zastawszy nikogo z gości u Makarego posilony grokiem i ciastkami, ukazał się znowu w rynku ze szkiełkiem niebieskiem w oku, obejrzał się na wszystkie strony i skręcił w ulicę *Zieloną*. Zdala już miał na oku kamienicę popielatą, świeżo pomalowaną, przed którą parę wysmukłych, różanych kwitło drzewek. Okno jedno stało otwarte i widać było bielutkie firanki. Pan Wawrzyniec po nierównym bruku posunął się sporzéj — gdy właśnie z popielatéj kamienicy wyszła młoda, powabna postać dziewicza. Kapelusik słomkowy, okrągły, zacieniał świeżą twarzyczkę — biało-różową, przy któréj opuszczały się dwa grube warkocze płowego włosa; lekki czarny burnusik, przysłaniał świeżutką sukienkę z perkaliku lilla. Na widok panienki pan Wawrzyniec porwał kapelusz z głowy i pokłonił się zamaszyście. Panna skinęła mu lekko, zróżowiała nagle, niebieskie oczki spuściła i szybko obok niego przebiegła.

W téjże saméj chwili, wyjrzały dwa czepce z poza białéj firanki otwartego okna, jeden z pąsową wstęgą, drugi całkiem biały— a przy tych czepcach dwa podstarzałe już oblicza niewieście: jedno czarniawe, chude, z dużym nosem, drugie okrągłe, rumiane uśmiechnięte, wesołe, z pewnym wyrazem dumy.

Boć też owa druga jéjmość, pani Jabłonowiczowa, była właścicielką popielatéj kamienicy, pól rodzajnych i murowanego browaru, a więc najzamożniejszą obywatelką w miasteczku, po panu Pękoszy. Jéjmością zaś w czepcu z czerwoną wstęgą i długim nosem, pani Drzymkiewiczowa, także obywatelka miejska, przybyła do niéj w gościnę.

Pan Wawrzyniec przystąpił do okna i grzecznie się skłonił.

— Dobry wieczór. Dobry wieczór! — odkłoniła się pani Jabłonowicza, widocznie uradowana. A co tam słychać? — i wychyliła się z okna.

— Koń mi padł najlepszy, pani dobrodziejko, ale to fraszka! — odrzekł pan Wawrzyniec krzywiąc usta i wyjął szkiełko z oka.

— Koń? A to szkoda nielada! Jakżeż to było?

— Chojma dawał mi dwieście pięćdziesiąt bitych, alem go za tę cenę sprzedać nie chciał.

— Jaka szkoda! Jaka strata! — pokręciła pani Jabłonowiczowa głową.

A sąsiadka w czerwonych wstęgach, aż ręcę złożyła.

Pan Wawrzyniec opowiedział nagłą chorobę siwka, panie parę wykrzykników wydały, ale on tylko głową wyrzucił i wąsa pokręcił.

— Nie wstąpi pan na filiżankę kawy? — zaprosiła go następnie pani Jabłonowiczowa.

— Dziękuję pani dobrodziejce skłonił się kawaler, całą kołysząc postawą, na raz drugi zamawiam sobie tę łaskę... może jutro, bo dziś jadę właśnie do Graniczan. Czeka już na mnie od godziny pan Leopold, a będzie tam i kilkunastu z pierwszéj młodzieży.

— Pan tam często bywasz?

— Zapraszają mnie ciągle że i wymówić się nie mogę. Wczoraj byliśmy razem u barona w Kazielsku.

— I cóż pan baron?

— Taki nam był rad. To złoty jest człowiek, *bursz* taki wesoły. Wszędzie mi tacy radzi —i znowu wąsa pokręcił. — Panna Zofja gdzieś wyszła, właśnie gdym nadchodził.

— Moja córka poszła do panny Krystyny, siostry ks. proboszcza: ma jéj tam sukienkę przykroić.

— Zosia taka zręczna — wtrąciła pani Drzymkiewiczowa.

— Panna Zofja często bywa u panny Krystyny?

— Przyjaźnią się dziewczęta.

Pan Wawrzyniec zasadził znowu szkiełko w oko i spojrzał na piękny złoty zegarek.

— Miło z paniami rozmawiać — wymówił, ale komu w drogę temu czas. Połajaliby, gdybym się spóźnił. Dużo tam dziś będzie gości. Upadam do nóg! Upadam do nóg! i pokłonił się trzy razy.

— Życzę wszelkiéj *satysfakcji*.



Proboszcz zbliżył się do altanki w któréj panny siedziały — (do str. 38-éj, szp. 1-éj).

— Dziękuję, dziękuję — skłonił się znowu.

— I czekam jutro z kawką! zawołała jeszcze pani Jabłonowiczowa.

Pan Wawrzyniec zawrócił jakby na lekcji tańca i z widocznem zadowoleniem skłonił się raz czwarty.

— Z pewnością, na mój honor, będę służył pani dobrodziejce — wymówił i wywijając laseczką pokołysał się w Zieloną ulicę.

Tymczasem w pokoju pani Jabłonowiczowéj, służąca Justysia stół czerwoną nakryła serwetą, przyniosła kawę i na talerzu bułeczkę, świeżem masłem nasmarowaną.

— Proszę kochanéj sąsiadeczki! — ozwała się gospodyni domu i ujęła panią Drzymkiewiczową pod rękę.

Usiadły obiedwie przy nakrytym stole i filiżanki zabrzękły.

— Moja droga pani — zaczęła po chwili Drzymkiewiczowa—jak też pani sąsiadka uważa młodego Wierzbowskiego?

— Tego stolarza? — pani Jabłonowiczowa poczerwieniała jak pąsowa wstęga sąsiadki. Albo co?

— *Galante* chłopak! Nauczony i bierze się do chléba... A wszakżeż zaleca się Zosi?

— Mojéj córce? wrzasnęła matka Zofji. To mi się podoba! Córka moja nie dla rzemieślnika, nie dla takiego *hebla!*

— No, przecież to bardzo porządny jest człowiek....

— Myje się, z przeproszeniem i czesze czy co? zaśmiała się pani Jabłonowicza złośliwie.

— Prowadzi się dobrze, ma *edukacją*...

— Ale zawsze to *aspan hebel!* tylko, Jabłonowiczowa gniewnie poprawiła czepca na głowie i całkiem usadziła go na bakier — przecież córka moja warta kogoś innego.

— To się wié, że panna Zofja Jabłonowiczowa jest *prym* w naszém mieście.

— A więc nie dla *hebla*.

— Wszelako ojciec jego był rendantem.

— To i cóż, kiedy syn teraz zamiast piórem na papierze, wiorami pisze po ziemi — zaśmiała się matka Zosi z dowcipu własnego.

— Nie gniewaj się pani sąsiadka — wtrąciła znowu Drzymkiewiczowa—ale tak ludzie jakoś gadają po mieście.

— Gadają? z przeproszeniem, *szczekają!* Moja córka opiłków zmiatać niepotrzebuje! Stolarczyna, hołysz, *hebel!* — pani Jabłonowiczowa poczerwieniała jak burak.— Niechajże wiedzą, dumnie wyrzuciła głową, — że stara się o nią pan Wawrzyniec Pękosza, co to ma wzięcie u całéj szlachty okolicznéj i bywa u baronów, prezesów i hrabiów. Nie nadarmo dałam córkę *edukować*, nawet i po francuzku rozumie. Książek huk przeczytała i czyta a czyta. Nie dla psa migdałowa polewka!

— Toćże ksiądz proboszcz rozpowiada, że młody Wierzbowski wiele się nauczył i najwięcéj *edukowany* w mieście.

— Już mi jejmość o nim nie gadaj!—głos pani Jabłonowiczowéj aż zachrypł od gniewu.

— No, no, jam tylko tak mówiła. Miarkują także wszyscy, że pan Pękosza goni za Zosią...

— Otóż to co innego!

— Jeno że... ale...

— Cóż za *ale?* To i co?

— Boć mówią, że już o niejednę starał się pannę.....

— Gdzie? Kiedy? O którą?

— O! przecie o pannę... nie pomnę nazwiska, ojciec jéj dzierżawi Sławczyn.

— Wiem już, wiem! Tam go gwałtem ciągnęli, gwałtem, powiadam.

— A dawniéj już o jakąś kupcównę majętną.

— At, bajki! pannica sobie nim głowę nabiła, rodzice pragnęli go na zięcia, ale jemu ani się śniło!

— Potém mówili o wychowance pani Poradzewskiéj w Zielnikach...

— Byliby chcieli! Ale co tam wychowanka

wzdrygnęła ramionami, jakby z politowaniem.

— To więc można powinszować pannie Zofji, pani Drzymkiewiczowa po bułeczkę sięgnęła. Przystojny kawaler, niemasz co mówić: piękna będzie para.

— Hm, zobaczymy! Jeszcze to, jeszcze, nie mam się z czem spieszyć. Co nagle to po djable!

— Tak, tak, niepotrzeba się spieszyć. Panna ładna co się nazywa, *edukowana*, bogata....

— Może jeszcze filiżaneczkę, jeszcze jednę! ozwała się gospodyni w lepszym już humorze.

— Przedziwna kawka!

— Już to, bo ja staram się o to; u mnie wszystko musi być dobre i pani Jabłonowiczowa dumnie głową potrząsła.

Sąsiadki długo jeszcze o tém i o owem prawiły. A wieczorem już niemal całe miasto wiedziało, że panna Zofia Jabłonowiczówna pójdzie za pana Wawrzyńca Pękoszę.

W kilka dni potém, w ogrodzie ks. proboszcza siedziały Zofja i Krystyna. Pierwsza płakała, druga pocieszała ją słowami, uścisnęła jéj rękę i pocałowała ją w czoło.

— Nie trwóż się Zosiu i zawierzaj mi, że matka twoja wkrótce innego przekonania nabierze.

— Ależ widzi tylko same doskonałości w Pękoszy, a mnie dręczy od rana do nocy — odrzekła Zofja smutno. Przymusić się nie dam, nie pójdę za niego, bo raczéj wolałabym umrzeć, lecz jakież będę musiała przetrwać zmartwienia!... A o panu Wierzbowskim ani mysleć, matka nie zezwoli nigdy!

— Przekona się wreszcie jaki to z niego zacny, poczciwy i umiejętny jest człowiek i że dorobi się chleba. A tamten hulaka, utracjusz, karciarz i burda.

— Matka moja nic o tém nie wié i uwierzyć nie zechce.

— Zawsze to oliwa wyjdzie na wierzch! Dowie się także jak zaszargał majątek.

— Czy tak? — Zapytała Zofja zdziwiona.

— Nie inaczéj. Wiemy to od Szmula Joska: i niezadługo cała jego runie fortuna.

— Co ty mówisz?

— Prawdę. Dotąd mało kto wié jeszcze o tém, bo Pękosza zręcznie pokrywa wszystko, ależ to nie na długo. Ma długi ogromne, od których bajeczne opłaca procenta. Pochłaniają go karty, na koniach wiele traci, a nie oblicza się w niczém; lekkomyślny, niegospodarz, rozrzutny, bo myślał, że niewyczerpane źródło bogactw posiada. Hula z paniczami różnymi i jemu to pochlebia, a tamci korzystają z dudka i wyśmiewają gbura i błazna..... Ksiądz brat nadchodzi — wymówiła, przerywając sobie Krystyna.

Proboszcz zbliżał się do altanki, w któréj panny siedziały i Zofja na jego powitanie powstała.

Dobry wieczór pannie Zosi! wymówił. — Proszę siedzieć i sam usiadł na ławce. — A cóż to? Oczy zapłakane, minka smutna — zagadał dobrodusznie. Cóż się to stało?

— Zosia płacze, bo matka chce ją za Pękoszę wydać — odrzekła Krystyna.

— A, a! Nic z tego nie będzie! Hulaka, bankrut! — uniósł się proboszcz.

— Pani Jabłonowiczowa wszelako widzi w nim samą tylko doskonałość.

— Lakierki modne, szkiełko niebieskie, strój pstrokaty, wywieszony fular z kieszeni, at to się podoba! A pochlebia jéj pewnie, że paniczowie Wacha ciągną do siebie, by go potém zgolić porządnie. Że Wąsalscy i Bródkowscy wożą go po szlachcie, jeżdżą do niego, częstować się każą, a potém wyszydzą. Puścił on już z dymem niemal całą uczciwie zapracowaną ojcowiznę i brnie coraz bardziéj. To więc i przydałby się posag panny Jabłonowiczównéj. No, ale tak źle nie będzie. Oddal więc wszystkie smutki panno Zofjo i ufaj i miéj nadzieję i wiarę.

Młoda dziewczyna z wdzięcznem uczuciem pocałowała w ramię zacnego kapłana i aż wypogodniało jéj lice.

— Serce twoje — mówił daléj — szczęśliwy uczyniło wybór, boś poczciwą pokochała pracę. A nadzieja, wiara i praca, to są źródła błogosławione i wszelaką pociechę i pomyślność dają.

Poufna pogadanka ciągnęła się daléj — gdy w tém *Kurtuś* panny Krystyny zaszczekał i niebawem zjawił się przed niemi pan Kajetan Wierzbowski. Zofja pokraśniała jak wisienka, a proboszcz zawołał:

— A bywajże, kochany sąsiedzie! Dobry miałeś instynkt żeś przyszedł — uścisnął go serdecznie. — Siadajże, proszę.

Młody Kajetan pokłonił się pannom — a dziwnie mignęło mu w oczach, gdy je zwrócił ku Zosi.

— Czyś po prostu łaskaw na mnie, młody mój przyjacielu, czyli też masz interes jaki? — zapytał proboszcz.

— Interes, księże proboszczu — odrzekł zapytany — bo wszakżeż to dziś dzień pracy.

— Otóż to! Domyślałem się, że ciebie interes sprowadził, bo wiem że *bąków zbijać* nie lubisz. O cóż — że chodzi?

— Potrzebuję dom jaki nająć na warsztat, bo mi wiele roboty przybyło a pilnéj, więc przyszedłem z prośbą, czyliby ksiądz proboszcz nie odstąpił mi tego domku przy roli szpitalnéj, wszakżeż podobno pustką stoi?

— A może i odstąpię, ale jedynie dla ciebie, odrzekł proboszcz dobrotliwie — pogadamy o tém potém. Bo teraz spotkamy się nasamprzód z temi gruszeczkami, które siostrunia podać kazała i pogawędzimy sobie pospołu.

Po chwili wywołano proboszcza i Zosia z ulubionym przez chwil kilka niby sam — na — sam pomówić mogła. A znać pocieszyli się nawzajem poczciwemi a ciepłemi słowami, bo dziewczę odtąd raz po raz białe pokazywało ząbki i oczy młodego o wiele pogodniéj jaśniały. Otóż w sprawach serca niekiedy i jedno słówko, drobne, liche, na śmierć, istnie na śmierć przybije i też znowu jedno jedniusieńkie do siódmego podniesie Nieba.

(Dokończenie nastąpi.)

WIELORYB.

Największém zwiérzęciem na świecie jest wieloryb, dlatego warto bliżéj go poznać. Żyje wieloryb tylko w morskich wodach. Na pierwszy rzut oka mogłoby się każdemu zdawać, że to jest ryba, jednak wieloryb chociaż nazwa nawet oznacza wielką rybę, jest zwierzęciem ssącém, a tylko z postaci do ryby jest podobnym, sposób zaś jego życia jest taki jak u zwierząt ssących.

Zwierzęta ssące mają krew ciepłą, oddychają powietrzem i rodzą żywo młode, oraz karmią je piersiami. Ryby nato-

miast mają krew zimną, oddychają nie wprost powietrzem, ale wodą, t. j. iż z wody dopiero powietrze wydobywają, a młodych nie rodzą żywo, lecz niosą ikrę. Wieloryb choć żyje w wodzie, jednak ma krew czerwoną, ciepłą, rodzi żywo młode i oddycha powietrzem. W tym celu raz poraz wynurza się ponad powierzchnią morza i wyrzuca wodę nozdrzami, aby nabrać świeżego powietrza.

Jestto zwiérz nadzwyczaj ogromny, bo dochodzi do stu stóp czyli 50 łokci długości (nie jedna wieża kościelna nie jest tak wysoka), a dawniéj nawet były wieloryby 150 stóp długie. Teraz nie ma tak ogromnych wielorybów, gdyż ludzie bardzo wiele ich łowią, zatem mało który dochodzi późniejszego wieku, a tylko bardzo stare są tak długie. Grubość tego zwiérza wynosi często 50 stóp, czyli 25 łokci. Można sobie zatem wystawić, co to za olbrzymie zwiérzę.

Głowa jego jest nadzwyczaj potężna, ale oczy stosunkowo bardzo małe, bo tylko tak wielkie jak wołowe. Paszczęka jest tak wielka, iż możnaby w nią wjechać czółnem, a ośmiu ludzi przy warsztacie mogłoby w niéj wygodnie pracować. Natomiast gardło ma wieloryb tak ciasne, iż tylko śledzie i podobne ryby może połykać. Zamiast zębów ma rogowe wyrostki, z których mamy fiszbin. Skóra wielorybia jest wprawdzie znacznie gruba, ale za to miękka i łatwa do przebicia; barwy jest ciemnawéj, pod brzuchem biaława. U góry znajdują się dwa nozdrza (u potfiszów tylko jedno), z których od czasu do czasu wodę wyrzuca, aby oddychać.

Uwagi godnym jest ogon, który służy do szybkiego pływania i obrony. Wieloryb pędzi tak szybko w wodzie, jak koléj żelazna, gdyż upływa cztery milę na godzinę. Potężną łódź druzgoce ogonem w kawały.

Nader ciekawym jest połów wielorybów i potfiszów. W tym celu udają się co rok liczne okręty na północ. Każdy okręt ma kilka potężnych łodzi. Skoro tylko majtkowie czyli żeglarze z okrętu wieloryba spostrzegą, tak zaraz spuszczają łódź, w którą siada kilku ludzi. Ci płyną ile możności po cichu i niepostrzeżenie do wieloryba, a jeden z nich uderza całą siłą wieloryba harpuną t. j. żelazném narzędziem, podobném do strzały. Harpuna skoro uwięźnie w ciele wielorybiém, siedzi mocno. Do niéj jest przywiązana lina na kołowrotku. Wieloryb uderzony ucieka nadzwyczaj szybko odwijając linę, jednakże raz po raz dla oddechu wynurza się na powierzchnią wody. Wtedy łódź dojeżdża, a majtkowie starają się przebić płuca wieloryba potężną lancą. Skoro szczęśliwie trafią, tak zwiérz niedługo żyć przestaje. Woda naokół czerwieni się od krwi obficie płynącéj, a wieloryb wkrótce na wierzch wypływa. Wtedy ciągną go na okręt, a tam dopiero go na sztuki płatają.

Lecz nie zawsze się tak pomyślnie połów udaje. Nieraz wieloryb zamachem ogona łódź przewraca i druzgoce, a w tedy giną polujący w morskich bałwanach. Jednakże choć tak jest polowanie na wieloryby niebezpiecznem, choć zimna, mgły i burze nadzwyczaj połów utrudzają, mimo to co rok tysiące ludzi udaje się na połów. Chęć zysku i żądza zwalczania niebezpieczeństw powoduje ludzi, iż się udają na tak niebezpieczne wyprawy.

Skoro wieloryb znajduje się już na okręcie, wtedy wszyscy żeglarze biorą się do pracy i rąbią na sztuki olbrzymie cielsko wielorybie. Mięso pozostawiają na pastwę zwierzętom żarłocznym i ptastwu, a tylko słoninę wyrębują i fiszbin wydobywają. Ze słoniny topią wyborny tran, którego jeden wielki wieloryb do 200 beczek wydaje. Ztąd można sobie wystawić wielkość tego zwiérzęcia. Nie zadziwimy się jednakże nad tą wielką ilością tranu, jeżeli zważymy, iż wieloryb waży nieraz więcéj niż 1000 centnarów, czyli 100,000 funtów, a zatem jeszcze więcéj niż 700 ludzi razem (jeżeli się przyjmuje, że człowiek w przecięciu około 140 funtów waży). Wieloryb przynosi około 5000 rubli zysku.

Jeszcze u wielorybów uwagi godném jest, że stare a mianowicie samice bardzo się o swe młode troszczą. W największém niebezpieczeństwie nie opuszcza samica wielorybiątka i raczéj sama śmierć ponosi, aniżeliby przez opuszczenie młodego, swoje życie uratować miała.

Jest wiele gatunków wielorybów. Ten którego krótki opis podałem, jest najpospolitszym i żyje w północnych morzach, mianowicie około Grenlandji. Do tego samego gatunku należy także *potfisz dziwogłów*, tak zwany, bo głowa zajmuje trzecią część długości ciała. Jest on mniejszy od wieloryba; tranu wydaje około 100 beczek. Oprócz tranu posiada w głowie płynny tłuszcz zwany spermacetem czyli olbrotem, którego używają na wyrabianie świec do palenia i na lekarstwo. Potfisz ma przeszło 15 beczek tego płynu w głowie. Różni się zwiérz ten głównie od wieloryba przez to, iż tylko ma jednę strzykawkę, którą oddycha i wodę wyrzuca. Sposób chwytania potfiszów mało się różni od wielorybów.

Mili czytelnicy! Jakżesz podziwiać należy mądrość i potęgę wszechmogącego Boga, jeżeli się rozpatrujemy w dziełach które utworzył. Jaka to rozmaitość zwiérząt, jedne oto tak ogromne jak wieloryb, a inne znów tak maluczkie, iż ich gołém okiem nie można dojrzeć (wymoczki, żyjące w wodzie). A o wszystkich tych stworzeniach pamięta Pan Bóg i daje im pokarm czasu przygodnego.

Jak mądrze Bóg urządził, iż wieloryby w morzu osadził, bo inaczéj czyniłyby te zwiérzęta na ziemi wielkie spustoszenia.

Nad wszystkie stworzenia wywyższył Pan Bóg człowieka dając mu rozum, tak, iż wszystkie zwiérzęta i siły przyrody mu służą. Oto ów olbrzymi wieloryb, który sam więcéj waży niż 700 ludzi razem, który tak szybko płynie i taką potężną posiada siłę, ulega zręczności kilku ludzi. Tam daleko na północnych morzach panują wielkie mrozy, śnieg i mgły zaciemniają Niebo, morze wzdęte wiatrami pieni się wściekłe, a jego fale i bałwany wysoko się unoszą. Potężne góry lodowate tamują przejście, a nie brak i zwiérząt drapieżnych. Jednakże człowiek, uposażony od Boga rozumem, pokonywa te wszystkie trudności i zwycięzkie stacza z największemi stworzeniami walki.

Tak więc Historja Naturalna—nauka, która uczy poznawać świat i co się na nim znajduje t. j. zwierzęta, rośliny i rzeczy kopalne, jest nader piękną i pożyteczną nauką.

Józef Chociszewski.

ROZMAITOŚCI.

(*Podsłuchane w kantorze loterji.*)

DZIEWCZYNA (*z biletem w ręku*)... Proszę pana, czy ja tu nie wygrałam?

KOLLEKTOR (*patrzy w tabellę.*) Nie panno.

DZIEWCZYNA. A to licho nadało... i na Miodowéj nie, i na Długiéj nie, i tu nie... Proszę pana gdzie jest więcéj kantorów?

KOLLEKTOR. A na cóż pannie więcéj?..

DZIEWCZYNA. Bo ja przecież gdzieś wygrać musiałam.... przecież nie darmo mi się śniły numera...

Wł. S.

— *Ślub Azteków.* W tych dniach w *Londynie*, stolicy Anglji, odbył się obrzęd ślubu cywilnego pomiędzy państwem Nunezami, którzy bardziéj są znani w Europie pod imieniem *Azteków*, a których portrety i bliższą o nich wiadomość podaliśmy w Nr. 42m naszego pisma z r. z. ze względu przebywania ich owocześnie w Warszawie. Po ukończe-

niu obrzędu zaślubin w „*Willis's Rooms*", miała miejsce uczta, na któréj znajdowało się wielu uczonych. Doktor Bruer, przy sposobności objawił, że on jako etnolog i antropolog, nie jest w stanie objaśnić przyczyn tak małego rozwinięcia sił fizycznych i umysłowych nowożeńców. Uczeni Brody i Humboldt, którzy niejednokrotnie odwiedzali Azteków również utrzymywali, że w tym przedmiocie nauka zal dwie jest w stanie robić przypuszczenia. Zgodzono się jednak, że żona należy do rassy już bardziéj zmieszanéj aniżeli mąż, i że ten ostatni z wszelką pewnością należy do czystéj rassy Azteków. Toż samo zdanie wynurzyło Etnologiczne Londyńskie Towarzystwo, które jedno posiedzenie poświęciło naukowemu badaniu co do Azteków. Uznano na tem posiedzeniu: że mąż ma lat 30, żona 23.

— *Kucharki niemieckie.* W drugim z kolei tegorocznym Numerze czasopisma illustrowanego *Kłosy*, w korrespondencji z Drezna, czytamy bardzo ciekawe szczegóły o służących w Niemczech w ogólności, a o kucharkach w szczególności. Szczęśliwy to zaprawdę kraj te Niemcy! Jedna z najdotkliwszych plag, jakie ciążą na naszych wiejskich i miejskich gospodyniach, jedna z codziennych przykrości życia naszego, zupełnie prawie tam jest nieznaną. Służąca w Niemczech nie jest wrogiem swéj pani, przyczyną bezładu domowego, nie jest jak u nas istotą do niczego, li tylko strojami zajętą—ale owszem, uważa się za przyjaciółkę domu, a spełnienie swych obowiązków za najpiérwszą poczytuje powinność. Zasług jednak nie pobiera wyższych aniżeli nasze kucharki: wynoszą one 24 do 30 kilku talarów rocznie, nie licząc kolendy, którą zwykle na Nowy Rok otrzymują w stosunku jak długo służą. Umawia się z państwem nie kwartalnie jak u nas, ale rocznie i zwykle tylko nadzwyczajny jaki wypadek zmusza ją do opuszczenia służby. Prócz tego w spełnieniu obowiązków kucharki i służące niemieckie niezmiernie są skrupulatne, i żadna z nich nie zobowiąże się do tego, czego albo nie umié, albo wykonać nie będzie mogła. Przyczyną téj moralności sług, jest nie tylko oświata, bo w Saksonji np. nie masz człowieka, któryby przynajmniéj czytać nie umiał, ale i skrzętność niemieckich gospodyń. Najbogatsze i najpiękniéj wykształcone Niemki, same wszędy dojrzą, same pracują wespół ze służącą, a porządek i czystość do których sługi wdrażają, nawet u nas weszły już w przysłowie. Zresztą i dobre obejście, nie małą tu gra rolę. W Niemczech są urządzone szkoły praktyczne dla kucharek, na trzy klassy. W pierwszéj opłata miesięczna wynosi cztéry talary, w drugiéj sześć, w trzeciéj ośm. Pracowita i pilna kucharka w ciągu dwóch miesięcy, może się nauczyć dobrze jeść gotować i zaraz też znajdzie odpowiednie swoim zdolnościom miejsce. Szkoły podobne i u nas byłyby bardzo pożądane.



Wieloryb.

— *Uniwersytet dla kobiet.* Piwowar Matthew Bassar z miasta Ponghheepsie w Stanach Zjednoczonych Ameryki, dorobiwszy się znacznego majątku, ofiarował w r. 1861 fundusz na założenie uniwersytetu dla kobiet w summie około 408,000 dollarów (po rs. 1 k. 20). Zakład przy samém otwarciu swojém już liczył 300 uczennic. Opłata roczna od uczennicy za naukę i pensją, ustanowiona jest na 350 dolarów.

Głównie zwracają uwagę w tym zakładzie na wykształcenie wyższe kobiet, aby zajmować mogły pożyteczne posady w społeczeństwie, a mianowicie w astronomji do któréj wedle Humboldta kobiety dla lepiéj wykształconego swego wrodzonego zmysłu rozeznawania kolorów, są zdatniejsze od mężczyzn i do medycyny z przeznaczeniem ich na lekarzy osób płci swojéj.

Wykład nauk jak i wszelkie potrzebne pomoce naukowe i urządzenia, jako: obserwatorjum astronomiczne, konserwatorjum muzyki, gabinet historji naturalnéj, laboratorjum chemji, biblioteka, ujeżdżalnia, zakład gimnastyczny i t. d., odpowiadają wszelkim wymaganiom nauki i wygody.

Myśli i Zdania.

— Wyrzekaj się raczéj wszelkiéj godności i poddaj się jarzmu najcięższéj pracy, niżeli masz być ciężarem społeczeństwu.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj—Redaktor Adam Mieczyński.